

WSPOMNIENIE Z BORNHOLMU

Lato roku 2007 postawiło nas przed poważnym dylematem. Otóż jak pogodzić pomysł dobrych wakacji dla rodziców, dwojga nastolatków i trzyletniego berbecia? Czyli nie za daleko, atrakcje dla wszystkich, spokój i ciekawie. Po przeprowadzeniu szerokiego wywiadu, wymyśliłem Bornholm. A zatem pod koniec sierpnia wpakowaliśmy rowery na samochód, dodatkowo prócz bagaży trzy skrzynie jedzenia i... na prom do Świnoujścia. Łajba „Pomerania” załadowana polskimi rodzinami z dziećmi od razu przyprawiła mnie o ból



głowy i zrodziła wątpliwości co do tego, jak my się pomieścimy na tak maleńkim skrawku lądu. Już po pięciu godzinach rejsu trzeba było jednak zdjąć z głowy kompres i meldować się na wyjeździe i odprawie w Roenne. Uśmiech i spokój duńskiego pogranicznika podziałał kojąco (chciałem chłopca serdecznie uściskać, ale biorąc pod uwagę pogański język, jakim się posługiwał

dałem spokój). Jadąc trasą do Nexø, gdzie umówieni byliśmy z Panem Tomaszem z Bornpolu z kilometra na kilometr schodziła z nas polska adrenalina (to taka parszywa trucizna, na którą ciężko znaleźć antidotum w podręcznikach akademickich). Zaczęliśmy już od pierwszego dnia zachłystywać się wspaniałą przyrodą, spokojem emanującym od ludności i przepiękną architekturą. Dojechawszy na miejsce położone w sosnowym lesie, kilkadziesiąt metrów od piaszczystej plaży, poczuliśmy jak człowieczeństwo wraca w nasze wnętrza.

Następne dni należy zaliczyć do najlepszych urlopów w naszym życiu. Jeździliśmy na

niesamowite wycieczki genialnie przygotowywanymi trasami rowerowymi, których użytkownik traktowany jest jak normalny człowiek, a więc posiada pełne poczucie bezpieczeństwa. Wyprawialiśmy się też nieco dalej samochodem, wtedy rowery zabierałem na dach. Wiele można by pisać na temat różnych miejsc, ale nie mam zamiaru popisywać się cytatami z przewodników, których jest tam w ofercie



bardzo dużo (również po polsku). Nie mogę jednak nie wspomnieć czaru miasteczek portowych Nexø, Svaneke, Gudhjem czy Allinge, gdzie gubiąc się w urokliwych uliczkach, podziwialiśmy niską starą ale zadbaną zabudowę, wyrafinowany ale nie narzucający się smak detali architektonicznych przetykanych roślinnością. W takich miejscach, gdy pijesz kawę na nabrzeżu w małej kafejce, chce się naprawdę żyć. Do tego klimat: nie za gorąco, z wiatrem od morza, a jak trafia się deszcz, to szybko się kończy. Nie mogę też nie napisać o ludziach, bardzo skromnych, uprzejmym i serdecznych. Cały czas w głowie mi się nie mieści, że istnieje taki kraj, gdzie zostawiasz rowery w środku miasta z całym wyposażeniem, wracasz po godzinie i wszystko jest, jak zostawiłeś. Nie do pojęcia jest też dla mnie, że można sprzedawać produkty ze swojego ogrodu zostawiając je w skrzynce przed domem wraz ze skarbonką i informacją o cenie. Podjeżdżasz, wrzucasz odpowiednią kwotę do skarbonki i bierzesz woreczek z ziemniakami.

Jeśli chodzi o wycieczki to godzi się też wspomnieć o Bornholmskim Ogrodzie Tropikalnym, gdzie stworzone tropikalne warunki pozwalają podziwiać wspaniałą roślinność a przelatujące duże bajecznie kolorowe motyle dają poczucie przebywania w sercu egzotycznej przyrody. Ciekawym miejscem okazał się Naturbornholm. Przedstawiono tam historię przyrody na wyspie w sposób bardzo nowoczesny przy użyciu technik multimedialnych.

Nie wszystko zobaczyliśmy, nie wszystko zaliczyliśmy. Ale nie taki był przecież nasz cel. Najważniejsze są dobre wspomnienia, meble na nowo poukładane w głowie, dystans do spraw mało ważnych (nawet Wiadomości TVP są już dla mnie niestraszne – niesamowite, co?) A więc do widzenia Bornholmie, ale na pewno nie żegnaj...

